

WIECZORY RODZINNE,

CIASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



ROŚLINY PASORZYTNE,

POGADANKA NAUKOWA.

Czy wiecie, co to są pasorzyty? wyraz ten nieraz zapewne obijał się o wasze uszy. Czasem tak nazywają i ludzi, takich próżniaków, co to wciskają się do domów, udając przyjaciół, dla tego tylko, żeby mieć obiad gotowy bez pracy. Któżby się spodziewał, że i rośliny toż samo potrafią. Nieraz pomiędzy niemi znaleźć można podstępnych rabusiów, którzy się zakradają do cudzej własności, wyszukują pracę innych i najnieprawniej kosztem ich żyją.

Po lasach naszych, a nawet czasem i po ogrodach owocowych, można widzieć kępiaste krzaczki zielone, wychodzące wprost z pni drzew. Listki grube, mięsiste, jagódki lepkie, lubiane przez ptactwo, nie należą wcale do drzew, z których krzaczek wyrasta. Bo też to jest zupełnie osobna roślina, właśnie z rodzaju owych pasorzytów, co to zamiast czerpać pocziwie z ziemi swoje pożywienie, sadowią się wprost na innych roślinach i wyciągają z nich soki już przerobione i gotowe. Jemioła, tak się nazywa ów pasorzytny krzaczek, wyrasta zwykle na topolach, sosnach, a także na jabłoniach lub śliwach. Nigdy podobno nie widziano jej na dębie, a jednak starożytni druidowie, kapłani Galłów, właśnie na dębach szukali jej uporczywie, przypisując taki jej jemiole cudowne własności. Czy rzeczywiście znajdowali ją czasem na tych drzewach, czy też udawali dla oszukania ludu, dość, że druidowie z wielką uroczystością przynosili z lasów tę jemiołę świętą, (le gui sacré), która na dębach wyrastać miała.

Ale trzeba wiedzieć, że jest inna krzewinka, gązewnikiem zwana, niezmiernie do jemioły podobna, i ta właśnie zazwyczaj na dębach wyrasta. Kto wie, może owi druidowie, wychodzący do lasu



Lian morderca.

po jemiołę świętą, pozwalali sobie używać podstepu, albo też przez omyłkę gązewnika na jej miejsce przynosili. Podstęp to wprawdzie był niewinny, a omyłka nieszkodliwa. Gdzie idzie o własności czarodziejskie, za cóżby jemioła lepszą być miała od gązewnika? Jagódki gązewnika mniejsze są nieco od jagódek jemioły i żółtawe, a kwiaty różnią się tęp, że mają sześć płateczków i sześć pręcików; w kwiatach jemioły jest tylko cztery

płatki i cztery pręciki. Obie te pasorzytne rośliny wschodzą z ziarna, zwyczajnym sposobem, ale to ziarno lepkie z łatwością przylega do kory drzew i wypuszcza korzonek tak silny, że potrafi przebić korę i wybornie się w drzewie umocować.

Kianianki są to drobne roślinki pasorzytne, wijące się na łodygach ziół rozmaitych, rzadziej na drzewach. Liści nie mają wcale, tylko łodyżki czerwone, cienkie jak nitki, a te w pewnych odstępach wypuszczają rodzaj haczyków, czyli smoczków, i temi smoczkami wpijają się w rośliny, na których przebywają, ciągnąc z nich soki pożywe. Są to więc pasorzyty w całym znaczeniu tego wyrazu. Przy smoczkach tych wyrasta zazwyczaj mała przysadka, a w niej rozwijają się kwiaty, najczęściej czerwone tak, jak i łodyżki, w drobne kupki, czyli główki zebrane. Kianianki, które pospółstwo u nas parchem lub pozłotą nazywa, owijają się na łodygach koniczyny, wyki, macierzanki, na pokrzywach, chmielu, konopiach i lnieniu, rzadziej na wrzosach, a czasem i na wierzbach napotkać je można.

Niektóre pasorzyty wyrastają wprost z korzeni, jak na przykład łuskiwnik, który i u nas po lasach się przytrafia. Cała roślina składa się z mięsistej białawej łodygi, łuskami okrytej zamiast liści. Kwiatki różowo-cieliste wyrastają w kłos jednostronny, to jest z jednej tylko strony łodygi, jedne nad drugimi. Drobniejsze roślinki, zwane zarazami, wyrastają na korzeniach różnych zielnych roślin, napastują konopie, kukurydzę, tytoń i pastewne groszkowe rośliny, bób, wykę, lucernę. Łodyga ich żółtawa, włoskami obrośnięta, niema liści, ale tak, jak wszystkie potworki tego rodzaju, łuskami jest pokryta.

Gromadka takich dziwnych roślin otrzymała nazwę botaniczną korzenio-kwietnych, bo w samej rzeczy kwiat wypuszczają z korzeni innych roślin, na których pasorzytnie wyrastają. Tak na przykład z korzeni niewielkiego krzewu, zwanego czystkiem, (*Cistus*) pospolitego w Europie południowej, wyrasta coś nakształt szyszki, o łuskach krwisto-czerwonych, na wierzchołku zaś wykwitają drobne kwiatki także czerwonej barwy. Dziwny ten potworek, nawpół grzyb, a nawpół kwiat, niema wcale liści, nazywają go omylnikiem. Inny pasorzyt podobny wyrasta także z korzeni niektórych krzewów, najczęściej mirtowych. Jest to kłoczek mięsisty, walcowaty, także łuskami szkarłatnymi okryty. Łuski te opadają, a natomiast wysypują się liczne kwiateczki, jedne przy drugich, wszystko razem wygląda jak kotka drzew iglastych. Po lasach sosnowych można też napotkać storczyki, wyrastające z korzeni drzew sosnowych. Wyglądają zupełnie jak szparagi.

Na wyspach Sumatrze i Jawie odkryto kwiat osobliwszy, który zrazu uważano za grzyb olbrzymi, bo wyrasta tak, jak pasorzytne grzyby, na pniach drzew i niema wcale liści. Pączek tego dziwaczego tworu wygląda, jakby ogromna głowa kapusty, z tego pączka rozwija się kwiat niepospolitych rozmiarów, ma bowiem trzy metry obwodu, jest brudno czerwony w białe plamki, w koronie jego zwykle zbiera się woda. Nie wyobrażajcie sobie jednak, żeby ten potwór pięknie wyglądał; jest to ogromna masa mięsista i z barwy do mięsa podobna, wydaje przytęm niemłą woń zgnilizny. Krajowcy kwiat ten mają w wielkim poszanowaniu i cudowne mu przypisują własności; nazywają go krubut. Gubernator Sumatry, Anglik, sir Raffles, przechadzając się po lesie w towarzystwie doktora Arnolda, odkrył ten dziwotwór, który z tego powodu przewany został przez botaników *Rafflesia Arnoldi*.

W lasach zwrotnikowych, zwłaszcza w Ameryce południowej, gdzie roślinność jest nadzwyczaj bogata i bujna, niezliczone mnóstwo pasorzytów wyrasta na pniach drzew olbrzymich. Płaturośle czyli liany owijają się na gałęziach, spuszcza się niekiedy z wysoka nakształt wstęg i sznurów, tysiącnymi splotami opasują każde drzewo, a tak się to wszystko tłoczy jedno na drugim, tak się płacze, że często botanik w prawdziwym jest kłopotcie; na jednym drzewie widzi naraz tyle liści najrozmaitszych, tyle kwiatów o świetnych, jaskrawych barwach, że nie jest w stanie dojść, które należą do pnia głównego, a które do obcych przybyszów. Czasem znów drzewo ogromne, obumarłe, lub przez wściekłe wichry wyrwane z korzeniem, przez długie lata utrzymuje się w powietrzu, uwikłane i zawieszane na tych splotach potężnych, które je opasują.

W Brazylii rośnie drzewo, zwane *Cipo Mator*, czyli *lian morderca*. Pień jego prosty, jak u naszej topoli, jest zanadto wątki, aby się mógł utrzymać o własnej sile, szuka więc podpory w sąsiednim drzewie, przytula się do niego zdradliwie, czepia się pnia jego powietrznymi korzonkami, które wypuszcza w pewnych odstępach, opasuje to drzewo, jakby kłami, wyciska zń soki, i dusi je nakoniec w uścisku morderczym. Ale i sam potem, utraciwszy podporę, nie długo żyje. *Rycina* nasza przedstawia taki *lian morderczy*.

M. J. Z.

POWITANIE STEPU.

Witaj mi, witaj, rodzinny mój kraju,
 Mych ojców serca tęskne ukochanie!
 Witaj, ziem naszych czarujący raj,
 Pięknyś a rzewny, jak jutrzni zaranie!

Anieli pieśnią osnuli twe łany
 I aureole rozwiali na kłosa,
 Perłami lez ich święty step twój złany,
 Nad mogiłami brzmią pieśnią ich głosy.

Pięknaś mi, piękna, zawsze w każdej porze:
 Czy gdy owiany rannój mgły zasłona
 Step twój śnieżysty faluje jak morze,
 W którym gdzieniegdzie złote rybki płona.

Czy kiedy w biegu zwolnione już słońce
 Śle w pożegnanie promienne swe gońce,
 I krzyże złoci ostatniem westchnieniem,
 Ostatnią tęczą, ostatnim promieniem.

Czy kiedy nawet w nocnej snów godzinie,
 Step twój a niebo nie do rozpoznania,
 Gdy tam rój gwiazdek na szafirze płynie,
 Migoce, niknie i znów się rozślania...

A na twych stepach też gwiazdeczki świecą,
 Bo te co w górze w lśniących perłach rosy
 Z odbiciem własnem setne światła niecą,
 I łany twoje zmieniają w niebiosy...

Ja cię miłuję, ziemio przecudowna,
 Której kwiatami tęskne są mogiły;
 Powiedz mi, powiedz, czemuś tak czarowna?
 Czemu twój widok tak dla duszy miły?...

Ach, wiem! Tyś białem skrzydłem otulona,
 Rozmodlonego Anioła tęsknoty,
 Co twe śnieżyste rozskrzydlił ramiona,
 I woń swój cichéj śle ku niebu cnoty.

W itaj więc, witaj, stepie ukochany,
 Mężnych twych synów grobami zasłany!
 Witaj, czarowny méj młodości raj,
 Witaj, z ziem naszych najpiękniejszy kraju!

X.

BRANIEC TATARSKI,

opowiadanie na tle historycznym osnute,
 przez Maryą Świdorską.

I. KRWAWE NIESZPORY.

Było to za panowania Zygmunta I, którego naród kochał a postronni szanowali; nawet sułtan turecki, panujący podówczas Soliman, mądry

i dzielny, starał się o przyjaźń króla polskiego, śląc doń listy pełne szacunku. Kraj zdawał się zabezpieczonym od wojny tureckiej na czas jakiś, co jednak nie przeszkadzało Tatarom rabusiom trapić go najazdami swemi. Pohańcy ci poprzez szerokie stepy Ukrainy i żyzne niwy Podola zapuszczali zagony swe ku Wołyniowi, a czasem aż na Litwę się zapędzali, uchodząc śpiesznie za zbliżeniem się wojsk Rzeczypospolitej, a unosząc łupy bogate, co gorsza zaś, gnając przed sobą liczne gromady jeńców chrześcijańskich. Z tych to smutnych czasów snujemy opowieść naszą.

Był ciepły wieczór w miesiącu Kwietniu, łąki, już bujną okryte zielenią, błyszcząły od żółtych jaskrów, jak gdyby gwiazdkami zasiane; na wierzbach rozpękały puszyste kotki, a lud wiejski zrywał z nich gałązki i związywał w pęki, bo właśnie nadchodziła Palmowa niedziela i do kościołka na nieszpor dzwoniło przed jutrzejszym świętem. A wioska to była urocza. Niedaleko Tulczyna, wśród pól ornych tłustego czarnoziemiu, nad rzeczką, jednym bokiem do lasku brzoźowego i olchowego przyparta, rozsypała się wiosieczka, zielonemi łąkami, jak wieńcem okolona. Chatki, jak stado wróbli szarych, to się u jaru tuliły, to nachylały ku rzeczce, której strumyk kryształowy szumiał jeszcze od wiosennej powodzi.

Właśnie słońeczko, za laskiem zachodząc, rzucało czerwonawy blask na pagórki, z przeciwnéj strony niby wałem wiosieczkę od wschodu okalające, nad łąkami wznosiły się wilgotne opary, jak siatka srebrzysta, a dzwon z cerkiewki brzmiał rozgłośnie poprzez pola i łąki. Już się ku cerkiewce tłoczy gromadka wieśniaków w kozuchach lub granatowych sukmanach, szerokim wełnianym pasem przewiązanych. Niewiasty w białych na głowie namitkach*), dziewczęta w krasnych wstążkach i koszulach wzorzysto czerwoną i granatową bawełną wyszywanych, dla ciepłej pory bez kożuszków nawet.

Opoadał od wioski z za białych brzózek widnieje futor**), nad jarem, gdzie szumi bystry potoczek, sadkiem wiśniowym od północy zasłonięty, domek z modrzewia, a opodał rojna pasieka lipami obsadzona. Na futorze tym mieszka szlachcic poczciwy, z dziadów i pradziadów na usługi kraju gotowy. Dziś tu osiadł spokojnie z żoną i trojgiem dzieci, co mu niby kwiatki na futorze wyrastały, rumiane i wesole, ale za młodu służywał w pan-

*) Wieśniaczki na Ukrainie i Podolu do téj pory obwiązują głowy długimi, cienko tkanymi, niby ręcznikami lnianymi, których długie końce na plecy im spadają, są to tak zwane *namitki*.

**) *Futor*, na Podolu i Ukrainie sad, często z pasieką i domkiem mieszkalnym.

cernej chorągwi, aż dopóki mu pod Kleckiem nogi nie odrąbano. I z tą już pan Bohowityn niejednokrotnie uganiał się za Tatarzynem, choć ten jakoś szczęśliwie Koziońce omijał, ciągnąc szlakiem *) ku południowi, gdzie Latyczów i Winnica, lub bliżej Dniepru w stronę Kijowa.

Właśnie pan Bohowityn z żoną i dwoma synkami (bo mała Maryjka w kołysce jeszcze była), wybrał się na nieszpór do cerkiewki. Już się do wrót zbliżają, a pani Bohowitynowa, w białym na głowie czepcu i jubce barankiem krymskim podbitęj, zaleca Hani, żwawęj i dorodnej dziewczynie, żeby dziecka dobrze w izbie pilnowała, już Janko ze Staszkiem, za ręce się wzięwszy, żywo naprzód pośpieszają, gdy wtém... cóż to? Czy się ziemia zatrzęsła? Czy nagła wichura pędzi z za gór? Zadudniało coś od wschodu, dzikie okrzyki jakieś zagłuszyły dzwon cerkiewny i nagle, jak szarańcza, co chmarą spada na zielone pola, wali się jarem hurma Tatarów.

„Allah! Allah!” wrzeszczą, pędząc na koniach. Twarze ich żółte i wykrzywione, kose oczy błyszczą, jak węgle żarzące, zęby białe i ostre, jak u wilków i jak stado wilków dzikich rzucają się na gromadkę wiejską. W jednej chwili wieś stanęła w płomieniach, a pohańcy, rozbiegłszy się w różne strony, spędzali bydło i lud w jedną wielką gromadę.

Stary Bohowityn z razu chciał się rzucić na ratunek, ale go żona powstrzymała, bo i cóż było jednemu robić z taką hałastrą? namawiała, by się z dziećmi ukryć gdzie w piwnicach, ale nim to zrobić mogli, już się Tatarstwo rzuciło na futor. Stał przy wrotach pan Bohowityn z nabitym rusznicą, za nim wierny Maciej, co go w żadnej nie opuszczał potrzebie i naraz padły dwa strzały i dwóch Tatarów z koni się na ziemię stoczyło; ale setki innych zjawilo się, jak z pod ziemi. Wrzask dzieci napełnił powietrze, płomień buchnęły i już pan Bohowityn tarzał się we krwi własnej i siwa głowa Macieja, krwawą skąpana posoką, odleciała daleko na murawę.

W godzinę z pięknej wioski już tylko zgłiszcze zostało i resztki dopalających się główni, cerkiewka złupiona, bez drzwi i okien, sterczała jak trupia głowa ogromna, dzwon nawet, co przed chwilą

*) Szlaków, czyli dróg tatarskich trzy: *Kuczmański*, *wołoski*, i *ezarny*, to główne, prócz mniejszych, gdzie niespodzianie wpadali. Nad całą siecią szlaków, strażnic i mogli kresowych, panował zamek, dawniej Rów zwany, potem na cześć królowej Bony przezwany Barem, najmocniejsza po Kamieńcu twierdza. Nadzór nad twierdzami i strażnicami granicznymi należał do osobnego urzędnika, zwanego „Strażnikiem trzech szlaków”, który podlegał władzy hetmana koronnego, najwyższego naczelnika sił zbrojnych Rzeczypospolitej.

wzywał lud na nieszpór, unieśli pohańcy, żeby go później rozbić i przetopić. A lud cały? Mężczyźni, co dzielniejsi, polegli broniąc swoich; innych pognano, zarzuciwszy powróż na szyję, a z nimi kobiety i dzieci co większe. Niemowlęta i starców pomordowała dzicz lub powrzucała w pałace się domostwa; mało kto zdołał uciec i schronić się gdzieś w podziemnych kryjówkach, z kądem ludzie nazajutrz ostrożnie wychylali się, szukając ciał ukochanych swoich, albo wyciągając resztki pożywienia z pod zgłiszcz i popiołów.

Szczęśliwsi jeszcze ci, co poginęli: Bóg im peunie na tamtym świecie wynagrodzi męczeństwo tu poniesione, ale cóż się stać miało z tymi, których dzicz w niewolę pognała? Jakie męki, udęczenia i pokusy czekały ich jeszcze w tym srogim jasyrze! A ileż to tysięcy naszych braci tak niedgdyś w jasyr pognano *)!...

II. NA JASNEJ GÓRZE.

I znów się słońce ku zachodowi skłania, ale złociste jego promienie padają na klasztor, co to od wieków stoi na górze, *Jasną* nazwaną. I prawdziwie to Jasna góra, takie dziś od niej biją płomienie, gdy cała w blasku różowym zachodu skąpana, z ziemi ku niebu wznosić się zdaje. A na górę tę, niby stado gołębi białych, wstępuje gromada pielgrzymów ze stron dalekich; starcy o siwych włosach i brodach, niewiasty, mężowie w sił wieku, dzieci nawet, a wszyscy na kłęczkach, zwolna na szczyt góry wstępują, śpiewając hymn nasz stary: „Bogarodzico Dziewico i t. d.”. Z wieży dzwon się odzywa, organy brzmią na nieszpór a tysiące ludu, na twarz padając, łączy głosy swe ze śpiewem kapłana: „Przed tak Wielkim Sakramentem, upadając na twarze”.

Odśpiewano nieszpór, nabożeństwo się skończyło i rozeszli się pielgrzymi, jedni szukając schronienia po gospodarach, inni by obozować pod gołębniem, u stóp góry i Matki Częstochowskiej. Ale w kaplicy Bożej Matki, przy bladym świetle lampy srebrnej, cóż to za postać, krzyżem leżąc, ni się rusza, ni podnosi, możnaby myśleć, że skamieniała, gdyby nie to, że usta szepcą słowa rzeźwnej modlitwy, a z piersi dobywa się czasem głósniejsze łkanie.

Tu znów ciemnowłosa głowa młodziana opada na płyty kamienne, a usta jego całują ziemię po kilkakroć i łzami ją skrapiają. Czy to pokutnik jaki, czy grzesznik wzywający zmiłowania Bożego

*) Tatarzy 91 razy Polskę napadali; 18 napadów miało miejsce za panowania Zygmunta I, 14 za Zygmunta III. zresztą po kilka mniej więcej napadów pod każdym panowaniem; ostatnie 2 za Augusta II Sasa (wylicza Czerwiński).

w tak późnej godzinie, gdy się już wszyscy na spoczynek rozchodzą? Oj, nie grzesznik to chyba, bo gdy powstał z ziemi, to jasnym okiem powiódł dokoła, czoło pogodne, a twarz choć ogorzała, jak bronz, dziwnie jakoś szlachetny i pociągający miała wyraz. Podniósł rękę do oczu, gdzie jeszcze lży perliste błyszcząły, otarł je i powoli ku drzwiom się zwrócił, jeszcze raz głowę skłaniając przed cudownym Bogarodzicy obrazem. I wzrok jego padł na dwie inne postaci skulone w kątku kaplicy i tak do siebie przytulone, że gdyby nie srebrny promyk lampki, co padł w tę stronę, dojrzełby ich nie można było.

— Mateńko — szepnęła jedna z nich, młode dziewczę, której jasne, długie warkocze, mieniły się w niepewnym blasku lampki — mateńko złota, pójdźmy już, boś strudzona ciężko, a jutro, skoro świt, znów się na Jasną Górę pośpieszym.

I chciała z ziemi dźwignąć staruszkę, której blade lica, łzami zalane, utkwione były w obraz Bogarodzicy z takim wyrazem bólu i błogości zarazem, że się zdawało, iż to jedna z owych świętych niewiast, co je na obrazach malują. Gdy córka do niej przemawiała, zwróciła się ku niej trochę i usiłowała wyprostować zgięte kolana, powstać z ziemi, lecz siły ją opuściły i napowrót się pochyliła. Ale młodzieniec już klęczał przy niej, i z pomocą jego i córki, na której ramieniu się oparła, zdołała staruszka powstać, i powoli wszystko troje wyszli z kaplicy, a ztamtąd przez kościół ku drzwiom się skierowali. A czas był wielki, bo właśnie braciszek w białym habicie ks. Paulinów z ogromnym kluczem zabierał się ciężkie zamykać podwoje.

Gdy pielgrzymi nasi znaleźli się za progiem świątyni, już księżyc przyświecał i srebrzystym swym światłem oblewał całą górę i tulące się u stóp jej gromady podróżnych, co tu noclegu szukali; dalej w dolinie rozciągało się miasteczko Częstochowa, o niskich domkach, tu i owdzie bez wielkiego ładu porozrzucanych.

— Jakże wy tam zajdziecie, mateńko? — odezwała się dziewczeczka z niepokojem — wszak to spory kawał, a widzę, żeście już całkiem z sił spadli.

— Nic mi nie będzie, doniu *)! Pan Bóg dopomóż. Czyż to nie On nam zesłał tego zacnego młodziana, co się nad staruszką ulitował i tak mię wspiera, jakby syn matkę. Oj, miałabym ją, miała na kim wesprzeć się w starości i wdowieństwie mojem, gdyby nie to nieszczęście... — i lży mowę jej przerwały.

Młodzieniec ze współczuciem patrzył na biedną

niewiastę. Oczy jej, głęboko wpadnięte, nosiły ślad łez wylanych, zmarszczki pożałdowały czoło, a włos biały prawie dobywał się z pod wdowiego czepca; jednak nie musiała być podeszłą w latach; nie wiek, ale raczej cierpienia powlokły smutną pomroka te ciemne i dotąd jeszcze piękne oczy, pomarszczyły blade lica, co niegdyś pewno świeżym rumieńcem i gładkością świeciły. Wielce podobną do matki zdawała się być hoża dziewczeczka, co ją teraz szczupłym lecz silnym ramieniem objąwszy, troskliwie z góry prowadzić się starała; oczy tylko miała modre, jak dwa bławatki, choć jeszcze od łez wilgotne i wdzięcznie niemi spojrziała na młodzieńca, który z drugiej strony wspierał chwiejące kroki jej matki.

— Dozwólcie się, matko, odprowadzić do gospody waszej — rzekł ten głosem łagodnym — tylko wskażcie, którądy iść mamy, bo ja tu raz pierwszy i nieświadom drogi.

— I my pierwszy raz na Jasnej Górze — ozwała się wdowa — ale mamy tu krewniaczkę, co nas gościnnie w dom swój przyjęła, a Maryjka upewniała, że do niej i po nocy trafi; cóż, doniu, czy nie zbłądziłaś?

— Nie, mateńko! Ot tam przy tych topolach, gdzie się jeszcze świeci, stoi biały dworek ciotki Wincentowej, a może to i wujek idzie naprzeciw nam.

Jakoż niedługo spotkali się pielgrzymi nasi z barczystym szlachcicem, o pełnej, ogorzałej twarzy, z wąsem sumiastym i podgoloną czupryną, na której butnie wsadzona była szafirowa z siwym barankiem rogatywka.

— A wracacie mi przecie, pani bratowo! — przemówił — sądziliśmy oboje z moją jejmością, żeście się tam gdzie zbłąkały i już do nas nie traficie.

— Wracamy, Bogu dzięki, z pomocą tego zacnego młodziana, co nas tu prowadzi, a widzi mi się, że bez jego pocziwego ramienia nie dowlokłabym się już z moją Maryjką.

— Bóg zapłać waści! — rzekł pan Wincenty — ale dokądże sami idziecie i co z sobą robić zamysłacie?

— Bogiem a prawdą, nie wiem, gdzie się obrócić, bom tu obcy, ale przecież, gdzie tyle ludzi nocuje, to i ja znajdę przytulisko, choćby pod gołem niebem.

— Co masz wać szukać noclegu; chodź lepiej do nas. Obcy nie jesteś nigdzie na swojej ziemi, a żeś szlachcic i pocziwy, to ci odrazu z oczu patrzy. Dziwnie tak mi się przywiduje, jakbym cię gdzieś już spotkał. Ale teraz gadać nie miejsce i nie pora; ruszaj wać z nami, wypisz się na

*) Córeczko.

świeżem sianku w stodole, a jutro się rozgadamy na dobre.

I poszli już we czworo. We dworku palili się ogień na kominie, wesoło trzaskały jodłowe gałęzie, a przy nich grzała się wyborna polewka piwna; do tego na misie stał chleb, ser w kostkę krajany, a w rynce smażyła się jajecznica. Mięsa widać nie było, ale bo też to święta Wigilia do Matki Boskiej Zielnej, i niktby go do ust nie wziął.

Pani Wincentowa, życzliwie gościa powitawszy, jak to u nas było we zwyczaju, z wieczerzą przedko się załatwiła, żeby podróżnych do snu ułożyć; wkrótce też wszystko pogrążone było w błogim spoczynku. Maryjkę na postaniu własnem umieszcila cioteczna jej Halka, czarnobrewa, żwawa jak iskra jedynaczka państwa Wincentów. Poszeptaly jeszcze trochę dziewczęta położywszy się, jak to zwyczajem młodych, co nad sen i spoczynek gawędę przekładają, ale matki kazaly im się uciszyć, żeby jutro skoro świt być na nogach.

(D. c. n.).

BEZ PRACY NIE BĘDZIE KOŁACZY!

KOMEDYJKA W DWÓCH AKTACH Z EPILOGIEM.

AKT II.

(*we dwa lata później*).

Izba u wiejskiego kowala, taż sama, tylko poprzesuwać sprzęty, aby wyglądała trochę odmiennie. Piec wiejski można usunąć zupełnie, a jeżeliby był komin, piecyk, lub komin, to w nim ogień rozpalić. Na środku kowadło, na którem kowal i syn jego Antoś kują młotami w takt kawałek żelaza, które w obcęgach trzyma i odwraca Jędrrek. Wszyscy przytęm śpiewają na nutę krakowiaka, ale w takt do uderzeń młotów. Kto widział kiedy i uważał, jak kowale kują żelazo, ten wie, że oni zawsze w takt kują, bo inaczej być nie może, gdyżby sobie wzajem w kuciu przeszkadzali i nicby nie ukuli.

PIOSNECZKA KOWALSKA.

(*można akompaniować na fortepianie w drugim pokoju*).

Kowal jestem kowal, ciężkie życie moje!...

Lecz i pięść mam ciężką, więc życiu dostoję!

(*następną strofkę powinny uderzać w takt same młoty przy muzyce*).

Młot w żelazo wali! a w człowieka losy!...

Ależ przecie Pan Bóg zliczył ludzkie włosy!

(*znowu strofka młotów z muzyką*).

A kto dba o włosy, dba i o człowieka...

Przy ochoczłej pracy, byt wesoły czeka!

(*znowu strofka młotów z muzyką, w czasie której słyszeć się daje szerokie ziewnięcie, i widać Wiciusia poruszającego się w swoim koszu, wiszącym na ścianie na haku wielkim tuż nad kowadłem*).

KOWAL (*słyszcząc ziewnięcie*).

A!... dzień dobry, panie terminatorze! jakże się spało? nieźle chyba, wcale nieźle, skoro nie słyszysz od godziny naszego kucia. No! do śniadania, dzieci! My już je zarobili.

ANTOŚ (*kłaniając się Wiciusowi*).

Moje uszanowanie! moje najgłębsze uszanowanie panu terminatorowi! czy pan terminator rozkaże podać sobie śniadanie? jestem na usługi.

JĘDREK (*tak samo*).

Kłaniam uniżenie! moje najpowolniejsze służby panu terminatorowi! Czy pan terminator rozkaże może sobie podać świeżej wody do umycia? Takięj zimnej co to ha!...

WICUŚ (*z przerażeniem*).

Zimnej wody? brrrr!... (*wszyscy śmieją się*).

Nie przynóście śniadania, ja już sam wstanę na śniadanie (*wydstaje się z nisko umieszczonego kosza i podeszedszy do stołu, je z wszystkimi przygotowane śniadanie*). Oj, dobrze to tatuś mówili, że są u kowala chłopcy niedobrzy, którzy niewiedzieć czemu wyśmiewać się ze mnie będą.

KOWAL.

Otóż bajki! powiadam ci, mój panie terminatorze, bo ja choć przy tém nie byłem, przecież upewnić cię mogę, że twój ojciec, rozsądny człowiek, nie tak mówił, tylko pewno powiedział, że u mnie porządni chłopcy wyśmiewać się będą z chłopaka próżniaka; i to on bardzo dobrze powiedział.

WICUŚ.

Aha, a ja powiadam znowu swoje, że jak ja będę miał majątek, to się ze mnie nikt śmiać nie będzie...

KOWAL.

Potrochu, z pozoru, niby to ty masz słusność, ale tylko z pozoru, bo w gruncie naprawdę z głupiego zawsze się śmieją.

ANTOŚ.

A jednak, proszę ojca, ja nieraz słyszałem, że uczeni ludzie z głodu umierają i uczciwi także, a głupcy nieraz bogaczami zostają i nicponie także, i wszyscy ich szanują?

JĘDREK.

A tak ludzie powiadają i przecież sami widzimy, że jest tak: (*śpiewa*).

Że nicponiom życie tak jak z płatka idzie,

A uczeni ludzie umierają w biedzie!

WICUŚ.

A widzicie! samiście przecież zobaczyli, że ja mam rozum.

KOWAL.

Zdaje ci się, panie terminatorze! przekonasz się sam z czasem, że ci się tylko zdaje. Posłuchajcie, dzieci, ja wam to zaraz wytłómaczę. Oto wi-

dzicie tak jest, że są na świecie dwa rozумы i dwie głupoty. Jeden rozum jest z książek i takimiu zawsze bywa bieda, bo on w książkach tylko siedzi, a na codzienne sprawy radzić sobie nie umie. A jedna głupota jest z tego, że wcale książek nie zna, ale za to wprawę ma w sprawach codziennego życia i umie ich pilnować i pracować, i tak to majątku się nieraz dorabia, i taką ludzie w oczy szanują, ale tylko w oczy. A jest druga głupota z lenistwa, z próżniactwa, któraby chciała, żeby jój pieczone gołąbki przychodziły do ust, która nic nie umie, bo nie chce jój się niczego nauczyć, nad niczém popracować i taka, wierzcie mi, że nigdy się nie dorobi niczego, ani majątku, ani ludzkiego szacunku. A dopiero jest jeszcze rozum jeden taki, który i książki zna i w sprawach codziennego życia jest biegły, i pracy się nie leni; otóż taki jest najlepszy, takiego ja życzę moim dzieciom, przy takim nie umiera się z głodu, owszem i dorobić się można; taki to, chcąc nie chcąc, uszanować trzeba.

WICUŚ (*na stronie*).

Ehe, on myśli, że ja nie rozumiem, do kogo on o tych pieczonych gołąbkach powiedział; będzie on inaczej mówił, niechno ja majątek wielki zrobię.

KOWAL.

No! do roboty, dzieci! Teraz będziemy kuć siekiere. Wyjmij tam, Antoś, żelazo z ognia i daj do kucia!

(*Wicusz wchodzi napowrót w swój kosz i przypatruje się. Antoś przynosi w obcęгах siekiere i trzyma ją w obcęгах na kowadle, kowal i Jędrzek uderzają kolejno młotami, śpiewając*).

Bywa rozum wielki, bywa i nieduży
Taki sobie prosty, co na codzien służy.

Taki on najlepszy dla kowala bywa,
Z nim przy pracy będzie dola mi szczęśliwa.

Z nim ja łatwo przetrwam nawalność żywota,
Byłem trwał w zacości, choć mną burza miota.

KOWAL.

Dosyć, dzieci! Antoś, kładź w wodę na ostudzenie! (*Antoś wkłada siekiere w wodę w cebrzyku, trzymając zawsze w obcęгах, wszyscy udają mocny syk rozpalonego i w wodę zatopionego żelaza, które oczywiście wcale nie powinno być rozpalone, aby w zabawie nie było nieszczęścia przypadkiem. Potem Antoś wyjmuje z wody siekiere, a kowal bierze mu ją z obcęгов*).

KOWAL (*ogładając*).

Dobra siekiereka. Na, masz, panie terminatorze z kosza; oto świeżo ukuta siekiereka, na której robotę patrzałeś już nieraz, powinienes już potrafić ją zrobić.

WICUŚ.

Ja wszystko potrafię.

KOWAL.

A przynajmniej powinienes, bo to już kończy się dwa lata twego terminowania w koszu, z brodą podpartą pięciami na brzegu tego kosza. (*chłopcy śmieją się*). Ze to wygodniej, to wygodniej, chociaż nie każdemu, bo innemu, toby za karę starczyło, a czy to się na co przyda, obaczmy. Ja bardzo wątpię, i powiedziałem to przy umowie Wojtkowi, że bez pracy nie będzie kołaczy. Ale kiedy tak chcieli, to niech tak będzie.

WOJTEK (*wchodzi*).

No, witajcie! cóż tu słyhać? czas terminu minął, przychodzę po mojego jedynaka.

KOWAL.

Witajcie! słyhać u nas zawsze to samo: uderzenia młotów i wesołą piosneczkę, bo ja tak lubię. Oto wasz syn, terminuje, jak chciał, ale ja tam za niego nie odpowiadam; takem wam powiedział odrazu.

WICUŚ (*wylazszy z kosza wita ojca*).

Ale ja odpowiadam.

KOWAL.

O!.. to dopiero odpowiedzialność!

WOJTEK.

No, zabieraj się do domu, bo matka tęskni. Dziękuję wam, przyjacielu kowalu.

KOWAL.

Niema za co! doprawdy niema! bo wasz jedynak nic nie umie; bez pracy nie będzie kołaczy, sama umiejętność nie wchodzi w głowę, tylko ją trzeba ciężką pracą sobie przyswoić, zdobyć.

WICUŚ.

No, no, to moja rzecz; już to się pokaże, co ja umiem, niech tylko ojciec kupi mi co do roboty potrzeba.

WOJTEK.

A no pójdź, to kupię po drodze w mieście, wsiądziemy na lada wóz i zawieziemy wszystko odrazu do chaty.

WICUŚ.

A jutro weźmiemy się zaraz do roboty.

KOWAL.

Będzie to robota!

WICUŚ.

No no, już w tém moja głowa. (*Wojtek z Wicusiem odchodzą*).

KOWAL.

A jak tylko co niemądre, to już zaraz i pyszne!

EPILOG.

(*Izba, jak w pierwszym akcie w chacie Wojtków, tylko kowadło stoi na srodku, koło niego cebrzyk z wodą i różne narzędzia kowalskie, cęgi, młoty i t. p. w cebrzyku powinno być włożono kilka kawał-*

ków żelaza różnej wielkości. Wojtkowa siedzi, przy-
patrując się, Wicus i Wojtek zabierają się do ro-
boty).

WOJTEK.

No, kupilem wszystko, co chciałeś, do kowal-
skiej roboty; terazże pokaż ty, co umiesz, po dwóch
latach nauki u kowala takiej, jak sam chciałeś.

WICUS.

Zaraz pokażę, zrobię siekiere, tylko wy poma-
gajcie, tatku, kiedy macie być do pomocy. Przy-
nieścież z ognia żelazo! (*Wojtek przynosi w obcę-
gach żelazo, jakby je z ognia wyjmował*). No!
trzymajcie, a ja będę kuł i będę wam przyśpiewy-
wał, jak obracać macie żelazem, bo kowal powia-
dał, że przy śpiewaniu lepiej idzie robota. (*kuje
śpiewając w takt*).

Trzymaj, tatku, mocno, a obracaj cęgi,
Zrobimy majątek na rzemiośle tęgi.

Trzymajcie-no mocno, dobrze się zaczyna,
A jak źle co będzie, to już wasza wina!

WOJTEK (*śpiewa*).

A jak dobrze będzie, to twoja zasługa?
Otóż zysk mi niesie twa nauka długa!

WICUS.

Już! dajcie cęgi, ja sam włożę w wodę. (*Kła-
dzie w wodę, udając syczenie i po chwili wyjmuje
mniejszy kawałek żelaza. Wojtek i Wojtkowa
oglądają, kiwając głową*).

WOJTEK.

Może to ci się tak na pierwszy raz tylko nie
udało, ale już jabym takiej siekiery nie kupił.. to
do niczego!

WICUS.

To prawda, że się jakoś robota nie udała, ale
to nic, każdemu się nieszczęście przytrafić może;
a przecież ja robotę znam, i umiem, i wiem, jak
się robi.

WOJTEK.

Może ty i wiesz, jak się robi, ale zrobić nie
możesz; mniejsza z tém, tylko trzeba przekuć tę
siekiere, bo tak się na nic nie zdała; przekujże ją,
bo szkoda żelaza.

WICUS.

O! jak to zaraz znać, że się tatuś roboty nie
uczył; z tego już nie będzie siekiery!

WOJTEK.

A to czemu? przecież można na nowo rozgrzać!

WICUS.

Tak, ale już się trochę żelaza upaliło, jak się
jeszcze trochę upali, to na siekiere nie wystarczy.
Ale na wszystko jest rozum: żeby się żelazo nie
zmarnowało, zrobimy z niego co mniejszego, nóż!

WOJTEK.

Niech będzie i nóż!

WICUS.

Rozgrzejcież żelazo! (*Wojtek wychodzi z żela-
zem, aby je niby rozpałi*).

WOJTKOWA.

Mój jedynaczku, czy ty tylko dobrze znasz swo-
je rzemiośle? bo się lękam, żebyś ojca na koszta
próżno nie narażał.

WICUS.

Mam ja swój rozum, już wy bądźcie spokojni,
matko.

WOJTEK (*wchodzi z obcęgami, w których ma żelazo*).

Ogień tęgi, odrazu się rozpałiło żelazo.

WICUS.

Dawajcie i trzymajcie, a ja będę kuł i przy-
śpiewywał.

Trzymaj, tatku, dobrze i obracaj cęgi
Zrobimy majątek na rzemiośle tęgi,
Zrobimy nóż piękny, pięknie się zaczyna,
Lecz krótko był w ogniu, jak źle, wasza wina!

WOJTEK (*śpiewa*).

A jak dobrze będzie, to twoja zasługa?
Zobaczymy, jak się uda próba druga!

WICUS.

Już! ja sam włożę w wodę (*kładzie, udając syk
rozpałonego żelaza i po chwili wyjmuje bardzo ma-
ły kawałek żelaza, podobny trochę do nożyka*).

WOJTEK (*i Wojtkowa oglądają*).

I to ma być nóż? no, mój chłopcze, zaczynam
się lękać, że kowal miał słusność: nic ty podobno
nie umiesz.

WOJTKOWA.

E, przecież zawsze to do noża podobne.

WOJTEK.

Podobne trochę; trzeba to koniecznie przekuć,
może jeszcze będzie z tego nóż; włożę w ogień...

WICUS.

Powiadam wam, że każdemu i najbieglejszemu
kowalowi nieszczęście się przytrafi, a przecież
mądra głowa zawsze sobie poradzi: żeby się żelazo
nie zmarnowało, zrobimy z niego tęgi gwoźdź.

WOJTKOWA.

Oj to to! zaraz mi się przyda!

WOJTEK.

Niech będzie i gwoźdź, byle cośkolwiek było
(*wychodzi z żelazem*).

WICUS.

Oj, matusiu, strasznie się spracowałem, niema
tam czego, żeby się pokrzepić?

WOJTKOWA.

Jest, jest, jedz. Ale ja się strasznie boję, że-
by się ojciec na ciebie nie gniewał, jak z tej roboty
nic nie będzie...

WICUS.

Nie bójcie się nic, matko, już moja głowa w tém,
zawsze ja coś zrobię.

WOJTEK (*wznosząc żelazo*).

Już jest!

WICUŚ.

Trzymajcie! ja kuje gwoźdź! (*kuje i śpiewa*).

Trzymaj, tatku, dobrze, a obracaj cęgi.

Zrobimy majątek na rzemiośle tegi!

Dawajcie! (*chwytając cęgi od Wojtka i zanurzając żelazo z przeciągłym sykiem w wodzie. Wszyscy zaglądają ciekawie do wody*).

WOJTEK.

Już? tak prędko ukułeś? a i cóżes ukuł?...

Żeli chcesz być kowalem, bo bez sumiennej pracy, pamiętaj sobie, że ze wszystkiego, i z samego życia może się zrobić także taki bzik, jak z tego żelaza. Wracaj do kowala!

ZWALISKA MIASTA ANI.

We Lwowie, w Kamieńcu Podolskim i wielu innych okolicach, napotkać można rodziny ormiańskie, które oddawna zamieszkały w Polsce,



Zwaliska miasta Ani.

WOJTKOWA.

Cóżes ukuł?

WICUŚ (*podnosi cęgi, w których nic niema*).

WOJTEK I WOJTKOWA.

Niema nic? (*zaglądają w wodę*). I tu niema nic! Cóż się to zrobiło?

WICUŚ (*zafrasowany*).

O, toż przecie słycał każdy co się zrobiło, (*udaje syczenie żelaza w wodzie*) zrobił się: bzzzik!...

WOJTEK.

Atł już ja miarkuje: żelazo przepaliło się, i rozleciało, i niema nic, a więc zrobiło się tylko bzik! w wodzie i tyle. Wracaj ty do kowala, mój jedy-naku i pracuj, i ucz się tak, jak każdy kowal, je-

przyjęły zupełnie narodowość naszą. Ormianie dotąd zachowali w fizynomii wybitny typ wscho-dni, gdyż pochodzą z Armenii, z Azji; wielkie prze-sładowania pod jarzmem tureckim wygnały ich z własnej ojczyzny, musieli więc szukać przytułku w różnych krajach europejskich, zwłaszcza w Pol-sce, w Węgrzech i Rumunii.

Armenia była niegdyś krajem bogatym i kwi-tnącym, zwłaszcza jedna jej prowincja zwana Szy-rak, z miastem stołecznem Ani, nad rzeką Arpa-czajem; zwaliska tego miasta przedstawia nasza ryocina. W VIII wieku po Chrystusie Szyrak prze-szedł pod panowanie książąt z rodu Bagratydów i wtedy doszedł do wielkiej świetności. Podanie

niesie, że miasto Ani miało 1,001 kościołów i 100,000 domów, z pięknego ciosowego kamienia budowanych.

Zdobywane kolejno przez Persów, Tatarów i Turków, miasto Ani w XIII wieku upadać zaczęło, w końcu zniszczone było ostatecznie przez trzęsienie ziemi. Część Armenii, gdzie leżą zwaliska Ani, należy obecnie do Rosyi.

PAMIĘTNE CHWILE.

Dzień 22 Marca 1073 roku. W zamku gnieźnieńskim, na tronie purpurą zasłanym, siedzi Bolesław Śmiały, chmurny, ponury i duma. O czém?.. o tém, że mu tęskno do bojów, do miecza, którego już dawno w dłoni nie miał, do trąby wojennej i hałasu bitew. Brodę podparł na dłoni, czoło zmarszczył, brwi nastrzępił i myśli, gdzie tu ruszyć, do jakiego kraju, kogoby zacząć, lub komu dać pomoc, jakby w kraju własnym nie było co czynić, czém się zająć, o czém myśleć!

Siedzi na tronie i duma, a wtém fałdy firanki, kryjącej wnijście do komnaty królewskiej, rozchyliły się i trzech mężów w progu izby stanęło... Kroki ich zbudziły króla z zadumy, podniósł czoło hardo i spojrział. Obcy to jacyś goście: jedwabne ich suknie, szerokie szuby, długie brody, niczém nie przypominają rycerzy polskich, nie z ziemi lackiej to goście, z dalszych stron przyjechali, przecież królowi są znajomi, i zamkowi gnieźnieńskiemu nie całkiem też obcy; nie pierwszy to raz komnaty tutejsze widzą w swych progach bojarów ruskich. Goście chwilę zatrzymali się w progu, potem dalej postąpili i przed tronem przyklękli.

— Królu! oto pan nasz, Izasław, książę kijowski, przysłał nas do ciebie, by błagać znowu pomocy twego oręża—rzekł drżącym głosem jeden.— Zaledwie odjechałeś z drużyną, Wsewołod i Świętosław Kijów oblegli, zdobyli, a Izasława wygnali; nieszczęsny książę tuła się w Przemyślu, jedyna jego nadzieja w tobie, królu!

Skończył mówić, a wszyscy trzej podnieśli wzrok błagający na siedzącego na tronie prawnuka Chrobrego, niespokojni, jaka odpowiedź z ust jego wyjdzie.

Bolesław podniósł dumnie jeszcze głowę; brzęknął mieczem, który miał przy boku, chmurne jego czoło rozjaśniło się, na usta uśmiech wystąpił.

— Wracajcie śpiesznie do księcia waszego, nieście mu wieść przychylną — rzekł wesoło — powiedzcie, iż zanim słońce po raz wtóry zajdzie,

już wierny druh jego wyruszy ku Kijowu z drużyną zbrojną.

I powstali bojarowie, raz jeszcze pokłon królówi oddali i opuścili ziemię lacką, a nazajutrz, zanim słońce zeszło z murów Gniezna, wyruszył orszak zbrojny. Przodem na pięknym koniu jechał król, cały w zbroję odziany, jechał wesół, uśmiechnięty, zadowolony, że znowu oręż z pochwy dobędzie, za nim drużyna szczęśliwa, że pole do nowych łupów się dla niej otwiera...

I gród stary pozostał bez pana i lud westchnął nad sieroctwem swoim, i smutek ogarnął całą ziemię lacką, i naród wołał za królem. „Nie jedź! bez pana, bez ojca, co pocznem, my biedni, nie jedź! szkoda ludzi, szkoda krwi naszej!”

Ale król narodu nie posłuchał, głuchy był na jego wołania, obojętny na łzy, pojechał, obległ Kijów i Kijów poddał mu się niezadługo. Wsewołod i Świętosław porażeni uszli, a Bolesław wkroczył w tryumfie do starego grodu, mieczem pradiada drogocennym ciał w złotą bramę wjeżdżając i ślad szabli Chrobrego ponowił. Z nim razem wszedł Izasław, król go na tronie ojcowskim osadził, a wdzięczny książę zaprosił go w gościnę.

Bolesław chętnie pozostał na całą zimę w pięknym grodzie i zapomniał o narodzie swoim, o państwie swém, a tymczasem na ziemi lackiej osieroconej, bez pana, bez ojca, smutne rzeczy dzieć się poczęły. Lud prosty pozajmował ziemie rycerzy, zburzył im zamki, zamieszki srogie zakłóciły spokój. Dobięły wieści o tych nieszczęściach do Kijowa, rycerstwo opuściło króla i pobiegło porządek czynić, i rozpoczęła się smutna wojna domowa.

Rozjuszony Bolesław samowolnym krokiem rycerzy podążył za nimi do państwa swego i stanął po stronie ludu; zamiast karać winnych sam zgorszenie szerzył, aż biskup Szczepanowski rzucił na niego kłatwę. Gwałtowny Bolesław nie umiał spokojnie przyjąć kary, dumny, nie umiał się upokorzyć i błagać przebaczenia, poprzysiągł zemstę i dokonał jój, zabił biskupa, kiedy ten mszę świętą na Skalce w kościele Ś-go Michała odprawiał. Taki to smutny był koniec wyprawy kijowskiej.

Ostatnie dni życia oczyściły wszakże pamięć Bolesława z popełnionej zbrodni. Żalując tego, co uczynił, opuścił Gniezno, przywdział suknię zakonną i w karyntyjskim klasztorze w Ossiachu spędził resztę żywota, modląc się i ciężko pracując.

Teresa Jadwiga.

ZE WSPOMNIENÍ DZIECIĘCYCH WŁODZIA T...

(Dalszy ciąg.)

Po roku znowu zmieniliśmy mieszkanie nasze na inne, też przy ulicy Ś-go Ducha położone. Przemieszkaliśmy w niem lat trzy, aż do wyjazdu naszego do Warszawy. Jakież miłe wspomnienie zostało mi z tych lat kilku! Mieszkaliśmy na dole, mieszkanie było pyszne, obszerne i wygodne. Rodzice urządzili nam w pokoju szwedzką gimnastykę; ja celowałem w wywijaniu koziołków, urządzaniu bocianich gniazd, szczupaków i innych figlów gimnastycznych.

W ogóle w tych latach prawdziwym byłem urwisem; nie było płotu, dachu, gzymsu, na którybym się nie wdrapał. Poczciwa nasza Fräulein Zuzanna nieraz była w rozpacz, bo najczęściej uciekłem jęj ze spaceru do domu, gdzie ukryty w jakim ciemnym kącie cieszyłem się niepoczciwie z przerażenia biedaczki. Z tém większą za to radością wyciągała swą zgubę z szafy lub z za łóżka.

Razu jednego przez moje nieposłuszeństwo nabawiłem się dobrego strachu. Pod rynną stała ogromna beczka, pełna deszczowej wody; wdrapawszy się po obręczach, nachylony, puszczałem zielone listki na wodę; przestrzegano mnie, że źle się bawię, lecz uparcie nachyliłem się jeszcze bardziej i naraz znalazłem się w beczce głową na dół. Jako zręczny gimnastyk, wywinąłem koziołka, stanąłem na nogi tak, że tylko czubek głowy było mi widać. Byłbym życiem przyplacił nieposłuszeństwo, gdyby niezwłocznie nie nadszedł ogrodnik z konewką po wodę i nie wyciągnął mnie z tej przymusowej kąpieli. Pamiętam i przerażenie mamy, i obawę, abym nie chorował. Ale uszło mi to na sucho. W ogóle trudna ze mną była rada; w godzinach nauki tylko byłem spokojny i zawsze chętny, a największą dla nas karą było, gdy mama zagroziła, że się uczyć nie będziemy.

Uczyliśmy się ledwie parę godzin dziennie, resztę czasu zostawało na figle i zabawy, nieraz zbyt hałaśliwe, które najlepiej uśmierzać potrafił przyjaciel rodziców, poczciwy, zacny Litwin, doktor Michał Jankowski. Olbrzymiego wzrostu, marsowej postaci, z dużą ciemną brodą, w ogromnym niedźwiedziem futrze, umiał nas tak trzymać w rygorze, że dość było jego zjawienia się, aby cisza natychmiastowa zapanowała w naszym gronku. Kazio „Miedziem” go nazywał. A jednak gdyśmy grzeczni byli, nikt nas więcej nie pieścił, nikt lepiej bawić się z nami nie potrafił, nikt cierpliwiej nie słuchał naszych dziecinnych opowiadań. Dobrym on był bardzo i wiele świadczył biednym

chorym, śpiesząc, nietylko z radą, pieniężną pomocą, ale i z prawdziwie ojcowską opieką. Nic go tak nie gniewało, jak gdy mu kto wspomniał kiedy o takim jego czynie. Wtedy przybierał wyraz więcej jeszcze marsowy, kłął i wymyślał okrutnie. Ogólnym się cieszył szacunkiem, ale też słynął jako oryginał i dziwak trochę. Mocno byliśmy zasmuceni, gdy po kilkoletnim pobycie w Lublinie wyjechał na Litwę, do rodzinnego miasta Mińska, zkąd odwiedził nas w Warszawie, przybywszy na pogrzeb swego przyjaciela ś. p. profesora Girsztowta. Było to w r. 1877, drugim roku naszego zamieszkania w Warszawie. Korzystając z tej sposobności urządziliśmy z tatusiem dwudniową wycieczkę do ukochanego Lublina, gdzie tyleśmy pozostawili życzliwych sobie przyjaciół.

Dom ten, w którym najpóźniej mieszkaliśmy w Lublinie, utkwil mi w pamięci pod mianem „Kolonii” i bardzo przyjemne zostawił po sobie wspomnienie. Należał on do kolegi ojca, doktora Saksa i zamieszkały był przez kilka najzacieńszych rodzin, pp. Sielskich, Wasiutyńskich, Jaszowskich, połączonych z sobą miłemi sąsiedzkiemi stosunkami, a nawet życzliwością i przyjaźnią prawdziwą. Nie trzeba było daleko szukać towarzysstwa, dość jak kolonijka się zebrała, gwarno, wesoło, szybko mijały zimowe wieczory, na przyjacielskiej rozmowie, czytaniu, muzyce i śpiewie. Sąsiadowała z nami przez ścianę bardzo miła i powszechnie znana, kochana, i wielce ceniona amatorka śpiewaczka, pani K. J. której córcezkę Jadziunię, uroczą jagódkę, nadbystrzańskim słowiczkiem zwaliśmy. Dwunastoletnie dziecko wtedy, śpiewała tak cudnie, rzewnie, tak do duszy trafiała, iż bez wielkiego wzruszenia słuchać jęj nie można było. Śpiewem tym, jak powiadano, na koniec świata zaprowadzićby mogła.

Ta Jadziunia ideałem mi się wydawała; bo to i śliczna była, i dobra, i mądra taka, a także tak się chętnie uczyła. Miała zwyczaj codziennie wpisywać sobie do książeczki, umyślnie na to przeznaczonęj, świeżo nabyte wiadomości. Od każdego starała się coś skorzystać i natychmiast zanotować w swojej małej encyklopedyi; miała kilka takich ciekawych i pożytecznych tomików, zatytułowanych w ten sposób „Rozum Jadwigi J”.

Jaka ona milutka była ta śliczna Jagódka! często do nas przychodziła pohaustać się na naszej gimnastyce i pobawić z nami. Pamiętam jak ona swoją starą służącą Teklusię uczyła różnych mądrych rzeczy, które później tamta, nierozumiejąc, powtarzała, i taka Teklusia mówiła o Zosi Mickiewicz, o Panu Tadeuszu, a kiedyś, wyliczając co napisał Mickiewicz, zamiast „Dziady” powiedziała „Baby”; wszyscy się z tego uśmieli.

Jadwinia bardzo lubiła kotki, pieściła, stroiła swoich faworytów, przyspiewując im swoim ślicznym głosikiem. Raz się zdarzyło nieszczęście; żelaza zastawione na szczury złapały za nóżkę ślicznego szarego kotka, ulubieńca Jadzi. Stało się to gdzieś w piwnicy tak, że nikt nie słyszał jęków biedaka. Wydostał się z tej tortury wtedy, gdy mu nóżkę zupełnie żelazo odcięło. Cóż to było za zmartwienie! Jak ona go pielęgnowała, leczyła i jeszcze więcej lubiła biednego kotka; nawet go potem do Warszawy z sobą zabrała. Obecnie Jadzia kształci się za granicą w śpiewie i z pewnością w przyszłości swoim talentem chlubić nam przyniesie.

Jakie to szczęśliwe, wesołe były czasy! U rodziców zbierano się w sobotę, bawiono się, grano teatr amatorski, urządzano tańce, w lecie wycieczki za miasto i t. d. Wybitną wtedy osobistością był p. Antoni Kosiński, zwykle „baronem” zwany, (sekretarz Towarzystwa Dobroczynności); powszechnie był znany i ceniony, jako człowiek bardzo uczynny, wielkiego serca i skromności wielkiej; wszędzie był obecny, żadna uroczystość familijna w mieście nie odbyła się bez niego; bywał na wszystkich zebraniach, któremi dyrygował, pamiętając, aby z tego jaką dla biednych korzyść wyciągnąć. W towarzystwie wyszukiwał najskromniejsze, najmniej powodzenia mające panienki, niemi się zajmował i z nimi tańczył. Zawsze żartobliwie się odzywał: „Poświęcam moje pedały dla podtrzymania zabawy”. Charakterystycznym było w nim to, że wszędzie bywając, nigdy u nikogo nic nie jadł, ani pił.

Pan Kosiński nie tylko się tam znajdował, gdzie wesoło i gwarno było; śpieszył on również z pociechą w smutku, z radą w nieszczęściu, godził zwaśnionych, grzebał umarłych, a szczególnie kochał dzieci. Dzięki to jego staraniom i zabiegom sieroty przygarnięte przez Towarzystwo Dobroczynności, po usunięciu ich z pod opieki Sióstr Miłosierdzia, znalazły w skutek ofiarności kilku osób schronienie i przytułek we własnym domu, którego urządzeniem zajął się p. Kosiński, wolne chwile od zajęć biurowych spędzając z dziećmi, wszczepiając w ich młode serca najcenniejsze zasady moralności. Niemając własnych dzieci, opiekował się i wychowywał dzieci swjej siostry. Z nami pamiętam bawił się nieraz ochoczo, przewodnicząc na majówkach, urządzanych do lasku, zwanego Czechowskim.

Razu jednego pan baron znalazł się na czele gromadki złożonej z 23-ga dzieci. On jeden był starszy między nami, z zielonym berłem w dłoni, gromadził nas w około i kazał za sobą powtarzać:

„Ojciec Wirgili uczył dzieci swoje,
Było ich wszystkich dwadzieścia i troje,
Hejże dzieci, hejże ha!
Róbcie wszyscy co i ja”!...

Przytém wyprawiał rozmaite figle, które musieliśmy wiernie naśladować. Uszczęśliwienie naszej gromadki z jego pomysłów nie miało granic. Obecni temu starsi bawili się również tym widowiskiem.

Wszystko to przeszło! niepowrotnie minęło! Znacny p. A. Kosiński 2 Listopada 1880 r. umarł na tyfus, zostawiając po sobie żal głęboki. Lublinianie uczcili pamięć jego bardzo licznym zgromadzeniem się na pogrzeb, urządzone kosztem miasta, a Wł. K. Zieliński w kalendarzu Lubelskim za r. 1882 umieścił jego życiorys z portretem.

RODZINA ARTYSTY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA,

przez M . . a.

(Dalszy ciąg).

Olesiowi tchu zabrakło ze szczęścia i wzruszenia na te słowa, a wtém jakiś chłopiec zbliżył się do kantoru, biorąc paczkę, którą znów odnieść trzeba było:

— Proszę nie ruszać! proszę odejść ze sklepu! nie masz tu miejsca od wczoraj! — zawołał subjekt na niego i paczkę innemu chłopcu oddał, a gdy tamten ociągał się z wyjściem dodał: — Trzy razy cię ostrzegałem, że u nas się za odnoszenie nic nie przyjmuje. Jest tu inny chłopak, który wziął też dawane mu pieniądze, bo jeszcze nie wiedział, co to znaczy, i mnie je oddał; ja pieniądze kładę oto tu do puszek dla ubogich, a chłopca tego przyjmuję.

Paganini przestraszył całą swą rodzinę, wpadając do domu w szale radości.

— W naszym domu będzie sklep, a ja będę kupcem! — krzyczał na schodach jeszcze.

— Słuchajcie państwo, jest już i sklep! — rzekł ojciec, targając się za włosy swoim zwyczajem.

Powodzenie Olesia wprawiło dzieci w zdumienie blizkie osłupienia. Rodzice zgryźli się w duszy, że dziecko tak młode muszą w służbę między ludzi puszczać, ale nic dlań lepszego w zapasie nie mieli, a sklep, o który szło, był bardzo zamożny i poważany; dobrze prowadzący się chłopiec mógł w nim istotnie mieć utrzymanie przyzwoite. Więc

Oleś poszedł na chłopca do sklepu i przychodził do domu tylko na noc.

Jeżeli dotąd ojciec żartował sobie po trochu z przedsiębiorczego ducha swych dzieci, to teraz zląkł się go prawie, bo karyera Olesia, jak dzieci to nazywały, zawróciła im głowy zupełnie. W dzień chodziły zamysłone, jak we śnie, w nocy nie zasypiały.

— Gdzie jest mój domek? — pytała w zamysleniu Aneczka, chcąc o swój naparstek zapytać.

— Proszę mamy, czy dziś niebieski, czy też biały ogródek Józki mam włożyć? — pytała Kasia, trzymając w ręce dwa dziecinne fartuszki.

— Proszę ojca, już obiad na strychu — orzekał Kazio, myśląc o lokowaniu swoich książek.

W nocy bywało jeszcze gorzej. Aneczka wstała raz przez sen i próbowała listwę odrywać, ponieważ śniła jej się, że za listwą jest skarb gotowy na kupno domku. Kasia spadła kiedyś z łóżka w przekonaniu, że wskakuje do karety, która wyglądała zupełnie jak balia, zaprzężona w cztery konie i miała ją prosto do ich domku zawieźć.

— Pieniądzy! pieniądzy! — krzyczał przez sen Kazio.

— Żle! — powiedział wtedy ojciec, — dzieci wchodzi na złą drogę; sprzykrzyła im się domowa bieda poczciwa, i zaczynają pragnąć tego, czém nigdy pragnienia nie zaspokoją. Taki stan wiecznego pragnienia, to wieczna męczarnia. Nie chcę tego dla moich dzieci. Co tu robić?

I po naradzie, rodzice postanowili dzieciom wcale pracy nie oszczędzać, aby ją dla niej samęj polubiły, a ugasiły trawiącą gorączkę zbierania pieniędzy.

Było to w tydzień po rozpoczęciu owęj karyery Olesia; Przez ten tydzień napróżno starano się o umieszczenie Aneczki w szwalniach, teraz więc, ulegając jej prośbom, matka poszła z nią do jednego i drugiego kantoru stręczeń bon i guwernantek, i znalazło się wreszcie miejsce dla młodej, dobrze wychowanej pani, któraby zabawiając małą dziewczynkę uczyła ją czytać i pisać po polsku i pilnowała jej przytém. Dawano za to pięć rubli na miesiąc i całodzienne utrzymanie. Na noc trzeba było odchodzić do domu.

Aneczka przyjęła i nazajutrz objęła swoje obowiązki. A tegoż samego dnia Kasia oświadczyła odurzonej matce, że kupcowa z norymberskiego sklepu, gdzie zazwyczaj kupowało się drobiazgi, chciała ją przyjąć za trzy ruble na miesiąc a obiecała pensją powiększyć z czasem. I poszła Kasia do sklepu.

W najtrudniejszym położeniu był Kazio. Od dawna ułożono, że on, jako lubiący książki i zdolny, będzie chodził do szkół. Książki ciągnęły go,

a gorączka posiadania, która całe to rodzeństwo opanowała, kazała mu je rzucić i szukać pracy dającej zysk natychmiastowy. Wiedział także, że ojciec życzył sobie, aby on do szkoły chodził. Więc Kazio wrzał, nie wiedząc co z sobą zrobić. Ojciec rozkazywać nie chciał; nie przywykł do rozkazywania, bo dotąd zaledwo wyrażona wola jego bywała prawem.

Wieczorem troje dzieci wpadło do domu; Oleś, jak straszny, szalony Boreasz; Kasia z elegancją i przesadnymi minkami, które prędko przejęła od swych towarzyszek, panien sklepowych; Aneczka z zadartą główką i wielką powagą, jaką dopatrzyła u jakiejś prawdziwej nauczycielki.

— Przywieźli ci panie dzisiaj cztery beki cukru, takie wielkie, żeby w każdej mieszkać można; dwóch ludzi nie mogło jednej ruszyć z woza, a ja panie, jak ci porwę, jak ci pchnę!.. łomot!.. zleciała! — wykrzykiwał Oleś.

— Nie krzycz tak, zlituj się, nauczyłeś się tego w pospolitem twojem sklepowem otoczeniu; do nas do sklepu wszedł dzisiaj jakiś pan nieźle ubrany, ale także podobnie podniesionym tonem spinek zażądał; nikt się nie ruszył, on jeszcze nieprzyzwyczajone żądanie powtórzył; między nami zawsze cisza i nieruchomość; wtedy ów pan zmiarkował i grzecznie, zniżonym głosem o spinki poprosił, i dopierośmy usłyszały — mówiła przeciągłym i przesadnym głosem Kasia, rączkę przykładając do skroni, ile razy brat usta otwierał. A on krzyknął znowu:

— A to dudek ten wasz pan; ja na jego miejscu byłbym kapeluszą nasunął i wyszedł, drzwiami trzasnąwszy.

— Przesadna elegancja w obejściu zarówno jest śmieszną, jak brutalstwo jest nieprzyjemnym. Maleńka Włoszka, która jest u nas do rozmowy z naszą małą, chciała się dziś także odznaczyć i uczyła naszą małą chodzić na piętach, utrzymując, że dystygowane panie tak chodzą we Włoszech; a nasza mała, usłyszawszy, że służąca powiedziała do swęj koleżanki wyraz: nieprawda, zaczęła go także używać. Zakazałem jednego i drugiego surowo. — Tak mówiła mierzoną głosem Aneczka. Kazio kipiwał.

— Oni wszyscy coś robią, a ja co będę robił? — pytał sam siebie, i ojca, i matki.

— Niekontent jestem z tego wszystkiego, bardzo niekontent — rzekł ojciec.

Dzieci struchlały, spojrzawszy na niego, bo był rzeczywiście zmartwiony, a to rzadko się u niego zdarzało.

— Czemu? dla czego? proszę ojca? — pytano.

— Temu i dla tego, że jesteście jeszcze oczy-

wiecie za mali, aby gniazdo rodzicielskie opuszczać, kiedy zaledwo z niego wyrzawszy, już przestajecie być tém, czém mieć was chciałem i czém wyście byli. Byliście szczeremi, serdecznymi dziećmi i obiecywaliście być takimi samymi ludźmi, a już dziś Oleś podobny się robi do ulicznika, Kasia do pokojówki strojnisi, a Aneczka do zarozumiałej gąski. Czy nie widzicie sami różnicy pomiędzy sobą i Kaziem, który przez te dwa tygodnie pozostał tém, czém był?

— Ale oni zarabiają, a ja nie; to jakże jabym potem z książkami śmiał się do ich domu wprowadzać — szepnął Kazio smutno. Niezadowolenie ojca i smutek matki, która co chwila milcząco spoglądała na włosy Kasi utapirowane, jak ich w domu nigdy nie nosiła dawniej, na miny poważne Aneczki, która spuściła u sukni zakładkę, i na oberwany rękaw Olesia, podziały na dzieci. Oleś się uspokoił, dziewczynki pospuszczały głowy.

— I cóżby na to robić, żebyśmy byli rozsądni, a przecież starali się pracować na nasz domek? — spytała Kasia.

— I z jakiej to przyczyny człowiek się tak prędko zmienia? — pytała Aneczka.

— Nie człowiek, tylko dzieci — z westchnieniem poprawił ją Oleś, któremu już się chciało być co prędzej dorosłym, żeby zostać sklepowym subjektem.

— Owszem, Aneczka dobrze powiedziała, każdy człowiek, mały czy duży, zmienia się niezmiernie prędko na złe, jeżeli... — mówił ojciec.

— Jeżeli co?

— Kiedy nie mogę znaleźć wyrazu, któryby myśl moją właściwie wyrażał, oto, jeżeli niema balastu.

— Balastu?

— Tak. Pospolicie przyrównywa się człowiek do łódki, a życie do morza, które łódką tą miota; rozum bywa sternikiem; ale i najlepszy sternik łódki nie zawiedzie tam, gdzie chce; i morze ją uniesie na skały, jeżeli w niej nie będzie tego, o czém mówię, a co nazywam balastem.

— A cóż to jest naprawdę?

— Obowiązek.

— Obowiązek? A wszakże my teraz właśnie obowiązki mamy, a wprzódeśmy ich nie mieli więc teraz powinnyby łódki nasze spokojniej płynąć, a tymczasem widzimy sami, że nas morze unosi?

— Mylicie się. Żle pojmujecie wyraz obowiązek. Te obowiązki, jakie dziś spełniacie, narzuciliście sobie sami; wasz rozum, sternik niedoświadczony, narzucił je łodziom swoim; to są ciężary nieodpowiednie siłom waszym, ale nie balast wła-

ściwy; możecie zagłębić się pod wodę, albo tańcować wirem na jej powierzchni, ale płynąć równo nie możecie.

— A więc cóż jest właściwie obowiązkiem? Po czém go poznać?

— Po tém samém, co i poświęcenie; i obowiązek, i poświęcenie, jedno w niższym stopniu, drugie w wyższym, wtedy tylko są obowiązkiem i poświęceniem, gdy ich okoliczności od nas wymagają albo gdy nam są narzucone z woli Najwyższej; inaczej będą to tylko fantazyje, i kaprysy sternika. To też tylko prawdziwy obowiązek i prawdziwe poświęcenie są rzeczywistym balastem, który człowieka bezpiecznie na falach utrzymuje i do celu dojść pomaga. Nie to co sobie wymyślisz, ale to, czego dobrze zrozumiane okoliczności żądają od ciebie, jest twoim obowiązkiem.

— Ależ ojciec sam przyznał, że to, co myśmy sobie wymyśleli, jest dobre?

— Maleńki własny domeczek, w którym żylibyśmy wszyscy razem w pracy i zgodzie, w którym matka nigdyby się o komorne troszczyć nie potrzebowała, czyliż to nie jest dobrem?

— Jest, ale chociażby i dobrem i pięknem było, to rzeczy nie zmienia. Na tém właśnie odróżnieniu obowiązku od fantazyi i szaleństw szlachetnego ducha ludzkiego zasadzają się głębokie podania z czasów męczeństwa chrześcijan.

— Jakież to podania?

— To niech matka opowie, bo matka więcej czytała o tém.

— Mamo, co to za podania?

— Jest ich dużo; są to powieści o męczeństwach chrześcijan, które wszystkie prawie obracają się około jednej zasadniczej myśli, tej właśnie, o której ojciec wspominał; a wyrażoną jest ona tak: że najslabszy chrześcijanin, mężczyzna, kobieta czy dziecko, którzy drżą jawnie na myśl męczeństwa i jęcząc błagają Boga o jego odwrócenie, jednakże, gdy są na męczeństwo wydani, zawsze je wytrzymują bez odstępstwa; w ostatniej chwili odwaga, siła, mądrość, potęga nieraz zjawia się nie wiedzieć z kąd, w najnędzniejszym ciele, w najslabszym duchu. Nawzajem zdarza się często, że człowiek pełen najpotężniejszego ducha, najwspanialszej miłości, najlepszych zamiarów, sam wyzywa niebezpieczeństwo, i rzuca się na nie zapalony, a wtedy, albo czyn jego bezużyteczny jest i ducha w ludziach nie rozplomienia, i nie nawraca ich, albo też jemu samemu w ostatniej chwili ducha braknie, a nawet tacy to ludzie, biorący a raczej porywający się na ciężary, których im dźwigać nie rozkazano, zwykle byli najgorszymi odstępcami.

Dzieci milczały przez chwilę po tych słowach matki, aż ojciec rzekł znowu:

— Nie jest to właściwie też sama rzecz, o której mówiliśmy, ale to wam może wytłómaczy pojęcie obowiązku, które chciałbym, abyście zrozumieli.

— Więc człowiek bez obowiązku żyć nie może?
— Nie.

— A więc jakież jest nasz prawdziwy obowiązek?

— Taki, jak wszystkich dzieci, mających rodziców: przysposabianie się do życia, nauka.

— Ale kiedy ojcu jest za ciężko na nas wszystkich pracować.

— Czy się poskarżyłem kiedy?

— Nie; bo ojciec taki dobry, ale co ojcu bieda to bieda, więc mybśmy chcieli z téj biedy wyleźć i ojcu jój ulżyć.

— Z biedy wyleźć? czyście rozum postradali? a któż biedy nie ma?

— Ten, kto jest choć trochę szczęśliwy, kto ma choć maleńki kącik swój własny, gdzie jest sobie panem; maleńki domek, zielenią obrosły, a w nim słońce, zgodę i pracę, ten jest szczęśliwy.

— Wy macie zgodę i pracę, a co do domku w zieleni... to jest, co do posiadania, co do majątku... jeżeli o to wam chodzi, czyliż żadne z was nie czytało bardzo pospolitęj powiastki o człowieku szczęśliwym? nie? nie może być! Lelewelu! zagłęb się we wspomnieniach twoich i opowiedz nam o człowieku szczęśliwym.

Kazio oczy szeroko na ojca wytrzeszczył, patrzył, patrzył, zagłębiając się we wspomnieniach swoich, nakoniec usta roztworzywszy powiedział:

— A.. a.. a..! — i tak mówić zaczął:

— Był raz sobie Wielki Pan! — miał złota pełne skrzynie, dobra, wioski, całe kraje; ale był bardzo nieszczęśliwy: zdrowie stracił, więc musiał żyć, jak nędzarz, wiecznie głodny, bo tylko pod tym warunkiem doktorzy obiecali mu życie utrzymywać; dzieci nie miał, więc nie miał o co dbać; przyjaciele umizgali się tylko do jego pieniędzy, więc nie miał kogo kochać; był strasznie nieszczęśliwy. Pytał ludzi tedy, jakimby sposobem szczęście zdobyć? aż mu jakiś wielki mędrzec doradził, aby koszulę szczęśliwego człowieka wdział, a wtedy szczęśliwym będzie. Pan postanowił szukać po świecie człowieka szczęśliwego. Rozesłał w tym celu na wszystkie cztery strony świata cały pułk ludzi, z których każdy codziennie mu składał raporty; czytanie tych sprawozdań było jedyną jego rozrywką. Szukano rok i sześć niedziel. Panu już się i ta rozrywka porządnie sprzykrzyła; Jeżeli jeszcze zagłądał do raportów, to dla tego,

że nie miał nic lepszego do roboty. Nadzieję znalezienia dziwu, którego szukał, stracił od dawna; gdy wtém! na początku jednego raportu, przerzucanego niedbale, wyczytał wielkimi literami napisany wyraz: „Jest!” Pan krzyknął, jak szalony, i pełen ciekawości kazał sobie głośno raport ów czytać. W raporcie stało tak: „Dnia tego a tego, o wschodzie słońca, jadąc przez las, spostrzegłem człowieka, leżącego na trawie, przy strumieniu szemrzącym; człowiek ów leżał, patrząc prosto na wschodzące słońce, ręce miał podłożone pod głowę, a wyraz twarzy tak pełny błogości, że mimowoli zastanowiłem się i zbliżyłem do niego:

— Człowieku, o czém ty myślisz? — spytałem.

— O tym, który stworzył słońce. — odpowiedział.

— A nie twardo ci tu leżeć? — pytałem jeszcze. On spojrzał na miękką, świeżą murawę, na której leżał i rzekł:

— Kpicie? czy drogi pytacie? — idźcie z Bogiem; bodaj tak wszystkim królom zawsze dobrze było, jak mnie jest.

— Jakto? i nie zimno ci?

— Przecież słońce mię grzeje.

— I nie gorąco ci?

— Przecież chłodna murawa mię chłodzi.

— I nie chce ci się jeść?

— Jak mi się chce, to jem” — rzekł i spojrzał na krzaki, obciążone orzechami, na jagody i grzyby, na zagony jarzyn.

— I nie chce ci się pić?

— Czyście oszaleli? czyście oślepli? — powiedział po grubijańsku, wskazując mi oczyma kryształową wodę strumyka.

— A więc ty chyba szczęśliwy jesteś, człowieku! kiedy myślisz tylko o tym, który stworzył słońce i o niczém więcej? — krzyknę.

— Ale jaki szczęśliwy! — powiedział, przeciągając się rozkosznie.

— Zmiłuj się! sprzedajże mi koszulę swoją, dam ci za nią stos złota — wołałem uszczęśliwiony, i podałem mu wór z pieniędzmi, a on oczy na mnie wytrzeszczał, bo nie rozumiał, czego ja chcę a nawet podobno nie bardzo znał pieniądze, a po bliższém porozumieniu pokazało się, że koszuli wcale nie miał, ani wiedział, co to jest.

Znałem szczęśliwego, ale bez koszuli.

O czém zawiadamiając Waszę Wielmożność, oczekuję dalszych rozkazów.

Pisałem w zielonym lesie...”

Taki raport usłyszawszy, pan go raz jeszcze sam odczytał, potem zmiął, w ogień cisnął, westchnął, i szczęścia więcej nie szukał. (D. c. n.).

Zadanie konikowe (K. R.).

Bo	ko	sła	rza	za	mi	nikt	do
wna	het	hu	żał	hu	mo	cze	czy
cię	ci	rze	ko	żał	a	boh	nie
po	kiem	mi	bo	co	hej	tło	two
wró	two	ply	cie	za	cięż	wie	gdzie
zję	ką	wo	ce	nie	lą	je	ko
je	nie	nikt	mro	ci	czy	wie	ne
a	dy	ser	i	nie	czo	coś	o

Łamigłówka zgłoskowa (Tadzio F.).

Z następujących zgłosek: a — ar — ben — bet — brzym — cya — cy — dyk — e — e — gip — in — ko — le — ma — mia — me — na — nie — nin — no — no — ol — or — psa — ra — ran — ru — try — tych — ty — ty — wi — zar — ułożyć 13 wyrazów: 1. Król egipski. 2. Naród wschodni. 3. Kraj w Azji. 4. Duży człowiek. 5. Owoc ciepłych krajów. 6. Księga turecka. 7. Ptak domowy. 8. Część dnia. 9. Prorok izraelski. 10. Napój. 11. Mieszkaniec Afryki. 12. Syn Jakóba. 13. Broń palna. Pierwsze litery, czytane z góry do dołu, utworzą nazwisko i przydomek dzielnego wodza polskiego, ostatnie, także z góry do dołu, jego godność.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 11-go.

Szarady:

Ma — ry — a.

Łamigłówki głoskowej:

Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Merciwł W. w Klepaczach. Rozwiązania łamigłówek, trafne i porządnie napisane, odczytaliśmy z wielką przyjemnością. Szkoda że w liściku nic więcej nie było; na drugi raz spodziewamy się wiadomości, które powiastki i opowiadania w Pisemku naszym najwięcej się kochanemu czytelnikowi podobały, bo to nas najwięcej obchodzi.

Maryni W. w Posiachwie. Liścik z trafnym rozwiązaniem łamigłówki odesłano nam z księgarni p. Orgelbranda, gdzie był zaadresowany niewłaściwie, gdyż p. Orgelbrand jest redaktorem Tygodnika Powszechnego, a nie Wieczorów

Rodzinnych. Nie możemy pojąć tej dziwnej omyłki, nie raz już bowiem staraliśmy się przekonać kochanych naszych korespondentów, że Pismo nasze ma redaktorkę, a nie redaktora.

Wańdzi Ch. w Wilczopolu. Serdecznie dziękujemy za życzenia świąteczne, które nadeszły w samą porę, zasyłałyśmy wzajemnie... które dojdą aż nadto wcześniej według starego stylu. Przesłana praca, tak staranna i porządna, w każdym razie na pochwałę zasługuje.

Zosi M. w Welelinie. Z łamigłówek dawniej przesłanych jedna już była drukowana w dodatku N-ru 12-go. Inne będą także zamieszczone niezadługo, ale w ostatniej jest omyłka, bo litera j w wyrazie *Jehu* nie może zastąpić litery i. Już raz niedawno nie dostrzegliśmy podobnej omyłki w nadesłanej nam łamigłówce i po wydrukowaniu musieliśmy przeproszać kochanych czytelników za nieuwagę. Trzeba więc wynaleźć wyraz zaczynający się od litery J. i taki znaleźliśmy już sami, więc łamigłówka ukaże się z tą poprawką. Prosimy trzech miłych siostrzyczek z Welelina, aby o nas pamiętały. Do układania dobrych łamigłówek wprawić się bardzo łatwo.

Janince Tr. w Niezynie. Dwa ruble przesłane dla rodziny Miarki oddaliśmy w ręce właściwe. Ucieszyła nas wiadomość, że *Wieczory* z zajęciem są czytane, radziliśmy się dowiedzieć, które powiastki najlepiej się kochanej czytelniczce podobały. Mamie odpowiadamy, że historia starożytna Korzona dla młodego wieku kosztuje rs. 1. Przepraszamy bardzo za opóźnienie odpowiedzi, ale w ostatnim N-rze Pisma zabrakło nam miejsca.

Morysiowi K. Wstyd nam bardzo, że znowu w łamigłówkach naszych znalazły się omyłki i dziękujemy za sprostowanie. Wszystkie rozwiązania są tak porządnie wypisane, że najlepsze dają wyobrażenie o uwadze i staranności stałego naszego korespondenta.

Wandzi R. w Zbrzyziu. Przesyłkę otrzymaliśmy, prosimy o cierpliwość.

Józiewi S. z braciszkiem. Rozwiązanie łamigłówki trafne, ale niewłaściwie zaadresowane do jakiegoś *pana Redaktora*, którego niema w naszej redakcyi. Na drugi raz prosimy o liścik do redaktorki.

P. Sulistrowskiemu w Lubaniu. *Antologią poetów polskich* i dzieło: *Kecit d'une soeur* wysłane. Ćbie te książki kosztują rs. 7. kop 70. Na przesyłkę pozostało kop. 30.

OD REDAKCYI.

Prenumeratorom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty dla uniknięcia zwłoki w odbiorze Pisma.

Ogłoszenie.

Biblioteka matematyczno - fizyczna wydawana przez Maryana Baranieckiego z zapomogi kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego.

Serya I. Tomy II i III.

Wiadomości początkowe z fizyki S. Kramsztyka.

Kartonowane 103 drzeworyty. Cena części I kop. 30, II kop. 45.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



Rozmówka.

Józia. Mamuniu, kiedy już ta wiosna będzie? Tak zimno, tak brzydko na dworze! Nieznośna ta zima kończyć się nie chce. Wczoraj troszkę było cieplej, a dziś znowu tak zmarzłam na przechadzce, choć rączki dobrze miałam schowane w mufeczkę. Nie, ja już tego wytrzymać nie mogę!

Mama. To bardzo nieładnie być taką niecierpliwą. Ty wytrzymać nie możesz zimna i niepogody, mając ciepłe okrycie i ciepłą mufeczkę, a w domu kominek i wszelkie wygody; czy też pomyślałaś kiedy o tych biednych dzieciach, co nie mają się w co odziać, a w domu nie mają czém w piecu zapalić zimą? Gdyby one mogły rączki włożyć w ciepłą mufeczkę, gdyby wróciwszy z przechadzki zastały zawsze wesoły ogień na kominku, pewnieby nie narzekały.

Józia. Mamuniu, trzeba tym dzieciom dać ciepłe ubranie i drzewa im posłać do zapalenia w piecu.

Mama. Takich biednych dzieci jest bardzo dużo na świecie, nie moglibyśmy wszystkich odziać i ogrzać, bo o wielu z nich nawet nie wiemy. Ale pamiętaj, moje dziecko, ile razy ci dokuczyci jaka mała przeciwność, nigdy nie bądź

taka niecierpliwa, nie mów: ja nie wytrzymam tego! tylko pomyśl sobie, ilu to ludzi wytrzymuje daleko większe przykrości.

Komu ciasno na świecie.

Że leniuszkiem był Janek, w kozie za to siedział;
Dzieci z niego się śmiały, Ojciec im powie-
Wy biegacie swobodnie, szukając zabawy,
A Janek w ciasnym kącie słucha waszój
I na świecie tym tylko świeci słońce jasno,
Kto pracuje z ochotą — bo próżniakom ciasno.
Nauka wiedzie ludzi w kraje odkryć cudów,
Umysł dziatek wzbogaca, broni je od nudów.
A więc, Janku malutki, słuchaj Ojca rady,
Będziesz wesoły, szczęśliwy — pozbądź się swiej
[wzawy...,
[dział;
[dział;

Marya Ciświcka.

WRÓBELEK.

(Z francuzkiego.)

III.

Jeszcze jest bardzo rano, niedawno słońce zeszło, małe wróbelki śpią w najlepsze; ale oboje rodzice już się przebudzili i rozmawiają o jakichś ważnych sprawach.

— Upewniam cię, moja kochana — mówi ojczulek wróbelek — że one mogą już bezpiecznie rozpocząć naukę fruwania.

— Dajże pokój, zmiłuj się — odrzeczła mama wróbelczka — ja ci mówię, że jeszcze za wcześnie, one biedactwa takie słabe mają skrzydełka. Jasnotka pierwsza upadnie zaraz na podwórze i koty ją pożrą. Proszę ciebie, poczekaj choć dwa dni jeszcze.

— Nie, nie, nie — powtarza ojczulek — rzecz skończona, dziś musi się odbyć pierwsza próba. Trzeba się koniecznie wynieść z tego gniazda, nie chcę dłużej nadużywać uprzejmości tych dobrych jaskółek.

Pisklęta przebudziły się w czasie tej rozmowy rodziców, oczki im błyszczą z radości, bo małe wróbelki zazwyczaj, nim jeszcze w piórka porosną, już niecierpliwie wyglądają chwili, gdy będą mogły skrzydełka rozwinąć do lotu.

Najstarszy wróbelek wysuwa się z gniazdką, siada na brzegu, ... i zaczyna się trząść cały, spogląda w dół, w podwórze, ach! jak tam okropnie głęboko! Biedny ptaszeczek przestrasza się, piszczy żałośnie, mama wróbelczka piszczy jeszcze głośniej, bo obawia się o malca, reszta piskląt jęj dopomaga, wszyscy krzyczą przeraźliwie.

— Nic to, nic — uspokaja ojczulek — śmiało, synku, nie bój się, patrz w górę. Trzymaj się mocno na skraju gniazdeczka, trzy paluszki naprzód, a jeden w tył; o! tak, dobrze. A teraz leć za mną na dach, żwawo. Patrz na mnie i rób to samo, co ja.

I wróbel ojczulek wyciąga szyjkę, a malec tak samo swoją wydłuża, ojczulek leci... ale malec nie rusza się z miejsca.

Tatko się gniewa, powraca do gniazdką, wpycha do środka małego tchórza i woła na innego. Ale wszyscy trzej braciszki tak są bojaźliwi, że siedzą, jak niepyszni na skraju gniazdką i nie chcą pofrunąć, jedna tylko Jasnotka zrywa się odważnie i podlatuje aż na dach.

Nazajutrz i dni następnych nauka poszła lepiej, wróbelki były coraz śmielsze, latały na dach, na komin, a w tydzień puszczały się już na dalsze wycieczki z rodzicami. Wówczas ojczulek wróbel zapowiedział, że się przeniosą na wieś, na letnie mieszkanie, ażeby dzieci nabrały sił i zdrowia.

W niedzielę rano cała rodzina poleciała podziękować grzecznym jaskółeczkom za gościnność i dać znać, że gniazdko już opróżnione, potem wszyscy wybrali się w drogę! Przybyli wkrótce do pobliskiej wioski, ojczulek wróbelek zatrzymał się na dachu kościołka, ztąd śliczny widok roztaczał się na całą okolicę.

— Patrzcie — mówił tatko — te łąki, zbożem okryte, te ogrody, sady pełne drzew owocowych, wszystko to nasze. Znajdziemy tu mnóstwo wybornych ziarenek, owoców, owadów bez liku. Strzeżcie się tylko jastrzę-

bia, moje dzieci, bo ten drapieźnik pożera wróbelki. Unikajcie także spotkania z wieśniakami, bo oni nie lubią ptasząt naszego rodu.

— Doprawdy! — rzekła Jasnotka — a dla czego?

— Ba! dla czego — mówił ojciec — bo im zjadamy trochę ziarenek i wisierek; zapominają, że gdyby ptaszęta nie wyniszczały liшек, to oneby pożarły liście na drzewach i owoceby nie obrodziły. Ale co ja widzę! Oto tam w podwórku gospodyni posypała jeść kurom. Lećmy tam, dzieci, bo wam się już pewnie jeść chce. Kury są bardzo uprzejme, nie pożałują nam troszkę swego ziarna.

I cała rodzina pofrunęła w tę stronę. Pobyt na wsi bardzo posłużył wróbelkom. Znajomi z miasta odwiedzali ich tam parę razy i opowiadali, że pisklęta wyrosły i wypasły się znakomicie. Mateczka siedziała już znowu na jajkach, a ojczulek upewniał, że im się doskonale powodziło w tej okolicy, bo mieli tam podostatkem jedzenia, obfitość ziarenek rozmaitego zboża, i najwyborniejsze gatunki smakowitych owadów. Kilkanaście wróbelków, usłyszawszy o tém, wybrało się na letnie mieszkanie do tej samej wioseczki. Ale gdy powiał zimny wiatr jesienny, wszystkie znów powróciły do miasta, bo tam jest dużo dobrych dzieci, co pamiętają o głodnych ptaszętach.

Greczny Adolfek.

Trzy panienki, Kazia, Zosia i Józia, bawiły się w ogródku lalką prześliczną. Wtém Mama zawołała córeczek do pokoju, aby z kolei powiedziały gościom wierszyki, których się świeżo nauczyły.

— Mój Adolfku, popilnujno tu lalki i jęj sprzętów, żeby im się co nie stało! — tak powiedziała Kazia do brata, odbiegając. Ledwo panienki odbiegły, już chłopczyki, koledzy Adolfka, chcieli się bawić lalką, ale Adolfek zaczął ich prosić, aby jęj nie ruszali, bo chłopcy nie umieją się z lalkami obchodzić i łatwo mogą im zrobić szkodę.

— Ale nie! — rzecze jeden z chłopców — ja nic jęj złęgo nie zrobię, tylko jęj delikatnie śliczne wąsy tuszem wymaluję!

— A ja tylko jęj rączkę scyzorykiem przetnę i przekonam się, z czego są zrobione

lalki małych panienek — powiedział drugi swawolnik, a trzeci rzekł:

— I ja jęj nic nie zrobię, tylko jęj ładniej suknią przykroję, żeby miała taką, jak moja mama nosi.

— O! kiedy wam się chce takich figłów, to ja wam ani przystąpić do lalki nie dam, bo nie trzeba paniomk sprawić przykrości, niszcząc lalki i ich stroje. — Tak powiedział Adolfek, i jak powiedział, tak zrobił: nie dał swywołnikom ani przystąpić do lalki, chociaż gwałtem się napierali i aż mocowali się z nim, rozumie się na w pół żarzem przecież, bo to byli grzeczni chłopcy, chociaż swywołnicy.

Gdy panienki wróciły i dowiedziały się o wszystkim, Kasia uściskała serdecznie dobrego braciszka i wszystkie dziękowały mu i powiedziały, że nigdy w życiu jego grzeczności nie zapomną.

Siostra Miłosierdzia.

Z różańcem u pasa, z oczyma jasnymi,
A w sercu i w ustach z modłami cichemi;
Dokoła ją dziatki, jak wieńcem otoczą,
I spokój jęj duszy swym smutkiem zamroczą.

To biedne sieroty, bez ojców i matek,
Zbierając w swych piersiach sił wątłych
[ostatek,
Z ufnością swe ku nięj rączyny podnoszą,
A lica ich blade rześiste lży roszą.

A ona je tuli, i pieści, i ściska,
A w oczach jęj dobroć niebiańska połyska,
Ich rączki do modłów ku Stwórcy układa,
Co całym wszechświatem zarządza i włada.

I karmi zgłodniałe, czém tylko jest w stanie,
By spełnić w całości swe święte żądanie,
I w świeże sukienki troskliwie obleka,
I tutaj niczyjej pomocy nie czeka.

Nie wstydzi się żebrać jałmużny dla biednych,
I do serc nieczułych przemawia nie jednych,
I często niestety! bez wsparcia odchodzi,
Ale miłosiernym Bóg kiedyś nagrodzi.

O! dzięki ci, siostrze, co w każdym masz
[brata,
Ty, coś się zaparła i siebie, i świata,
I cała sierotom nieszczęsnym oddana,
Bądź pewna nagrody wieczystej u Pana.

O lube dziateczki, w swęj wiosny rozkwicie,
Co macie tych jeszcze, co dali wam życie,
Zanoście za niemi modlitwy do Boga,
Bo dola sieroty okropna i sroga.

Ignacy Stopczański.

Podróż Adasia i Zosi do gorących krajów.

(Dalszy ciąg.)

— Dla tego, że palce mają tak ułożone, jak u naszych rąk — rzekł Ojciec — cztery jeden przy drugim, równolegle, a piąty, zupełnie osobno, porusza się z łatwością w bok i dla tego to małpeczki tak wybornie długimi i giętkimi palcami swoich rąk obejmują gałęzie drzew. Łapą zwyczajną, u której wszystkie palce są jednakowe, i w jedną stronę zwrócone, nie potrafiłyby tego.

Podczas gdy Ojciec tłumaczył to wszystkim dzieciom, jedna małpka, odważniejsza zapewne lub ciekawsza, spuściła się tak nisko i usiadła tak niedaleko od palankinów naszych podróżników, że Adaś i Zosia mogli się przypatrzeć wybornie, i ogromnej jęj brodzie, ciemnobrunatnej, która się łączyła z bujną czupryną tęg samęj barwy, i czterem rękoma o długich, giętkich palcach.

— Ach! Tatuniu, cóż tu ciekawości w tych Indyach! — mówiła Zosia — a czy tu nigdzie niema zwyczajnych zwierzątek i ptaszków takich, jak u nas?

Jakby na odpowiedź na to pytanie usłyszeli nasi podróżnicy donośne ku—ku—ry—ku!

— Aha! — kogucik! — zawołał A daś — to tu ktoś musi mieszkać niedaleko, kiedy kury tak sobie spacerują po lesie. A nigdzie żadnego domu nie widać.

— Niema tu mieszkań ludzkich w tęg okolicy — powiedział Ojciec.

— A to zkądże się wziął kogucik? — pytały dzieci zdziwione.

— A zkąd się wzięły pawie? — odrzekł Ojciec.

— O, mój Boże! — wołała Zosia klaszcząc w rączki — to pewnie dzikie koguciki; a czy tu są i kureczki?

— Zapewne, moje dzieci — mówił Ojciec — w Europie nigdzie niema kur dzikich po lasach i polach, bo one, tak samo, jak i pawie, pochodzą z Indyj. Tu mieszkańcy, jak chcą mieć domowe kury, nie potrzebują ich

koniecznie na targu kupować, ale chwytają parę kureczek dzikich, a gdy te zniosą jajka i wysiedzą małe kurczątko, te już z łatwością dają się wyhodować i przyswoić.

— Cóż to za dziwny i śliczny kraj, te Indyje — jakże to doskonale, żeśmy tu przyjechali,

Nie będziemy wam już opowiadali dzień po dniu, co robili nasi podróżnicy. Dobry Ojciec codziennie zabierał dzieci na przechadzkę, pokazywał im różne piękne i dziwne rzeczy, jakich niema w naszym kraju. Zabawiwszy dni kilka na Cejlonie, wsiedli znów wszyscy na okręt i popłynęli dalej.

— Zobaczmy teraz prawdziwe Indyje — mówiła Zosia.

— Ależ Mama powiedziała przecież, że i wyspa Cejlon do Indyi należy — rzekł Adaś.

— Ja wiem -- odparła dziewczynka, pokręcając główką — ale zawsze wyspa, to nie ląd.

— Ba! — powiedział znów Adaś — ta wyspa Cejlon musi być ogromna prawie tak, jak ląd, bo kiedyśmy to zajechali tak daleko w tych palankinach, patrzałem na wszystkie strony i nigdzie nie widziałem morza, tylko ogromne lasy, pola; jabym nawet nigdy nie ośgadł, że to jest wyspa, gdyby Tatko i Mama mi nie powiedzieli.

— Moglibyśmy jechać jeszcze daleko, przez dni kilka i kilkanaście, i nie obaczyłbyś morza, bo Cejlon jest jedną z największych wysp na ziemi — mówił Ojciec.

Żegluga nie zdziwiła teraz dzieci, wszyscy byli szczęśliwi i weseli. Ojciec opowiadał różne rzeczy ciekawe, ani się opatrzyły dzieci, jak pewnego rana majtkowie zaczęli wołać na pokładzie: Ziemia! ziemial Okręt zbliżał się do wybrzeża indyjskiego, zdążając do miasta Kalkutty. Lecz miasto to nie leży nad samem morzem, tylko nad brzegiem rzeki Gangesu, która w tém miejscu wpada do morza. Więc okręt musiał wpłynąć do ujścia rzeki i szerokiém korytem dostać się miał aż do samego miasta. Ojciec opowiedział dzieciom, że Ganges rozdziela się przy ujściu na liczne ramiona, a każde z nich tworzy jakby osobną wielką rzekę. To ramię Gangesu, nad którym pobudowane jest miasto Kalkutta, nazywa się Hugli.

Jak tylko okręt wpłynął w koryto rzeki, dzieci zaczęły się oglądać na wszystkie strony, bo myślały, że prędko obaczą Kalkutę,

ale nic nie było widać, tylko płaską równinę, zarosłą wysokimi trzcinami i sitowiem. Ojciec wytłómaczył dzieciom, że miasto jest oddalone o kilkanaście mil od brzegu morskiego, a chociaż parowiec szybko płynął, mieli jeszcze dość długą drogę przed sobą.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Gra w wilka.

Jest to gra podobna do warcabów, ale tak łatwa, że i małe dzieci grać w nią mogą. Na warcabnicy w jednym rzędzie stawia się na białych np. polach, tylko cztery białe warcaby, to jest owce, przed niemi także na białém polu stoi czarny wilk. Owce mogą iść tylko naprzód, jak w grze w warcaby. Wilk chodzi i w tył i naprzód. Gdy owce idą tak niezręcznie, że wilk może zejść im z tyłu, wtedy owce przepadają, to jest przegrywają. Ale gdy owcom uda się wilka tak okrążyć, żeby się ruszyć nie mógł, wtedy wilk jest wzięty w niewolę i przegrywa.

Łamigłówka w kwadraciku. (Moryś K.)

W kwadraciku z 9 podziałek umieścić 2.A — 2.E — 1.L — 1.E — 3.W. aby ułożyć w obu kierunkach: 1. Zwierz drapieżny. 2. Imię kobiety. 3. Nasyp obronny.

Łamigłówka kryształowa. (Józef K.)

1. Litera.
2. Nazwa ryby.
3.
4. Nazwa rośliny.
5. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwę rzeki w Europie.

Rozwiązania do Nr. 11-go.

Łamigłówki zgłoskowej:

- Epolety.
- Nabuchodonozor.
- Nero.
- Iwonicz.
- Zajac.
- Dore.
- Ogórki.
- Romanów.